



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mieczysław Gaweł

Tragedia wołyńska

Nazywam się Mieczysław Gaweł. Jestem synem Jana i Bronisławy z domu Osojca. Urodziłem się 8 stycznia 1929 roku w kolonii Tomaszów (gmina Derażne, pow. Kostopol, województwo wołyńskie z siedzibą w Łucku). Po tragicznych wydarzeniach 25 marca 1943 roku udałem się wraz z moim ocalałym rodzeństwem do Klewania i w tamtejszej parafii wyrobiłem sobie nową metrykę. Przesunąłem datę urodzenia na 9 marca 1931 roku, aby uniknąć wywozu do Niemiec na roboty (później już jej nie zmieniałem).

Rodzice moi przyjechali do kolonii Tomaszów w 1924 roku z Czekarzewic (pow. Ilża, woj. kieleckie). Dwadzieścia polskich mórg ziemi (około 11,5 ha) zakupili od hrabiny Zofii Rotermondowej. Był to okres bogaty w tego rodzaju parcelacje wielkich, nierentownych majątków. W ten sposób powstały również sąsiednie polskie wsie i osady, takie jak: Klin, Polanówka Stara i Nowa, Perłysianka, Marianówka, Pieńki, Pendency, Radomianka, Dąbrówka itd. W odległości około 8 kilometrów w kierunku Kostopola wyrosło miasteczko Janowa Dolina, gdzie odkryto pokłady bazaltu.

Kolonia Tomaszów rozbudowała się wzdłuż trzech dróg, odległych od siebie o około 1 kilometra. Teren był płaski i widoczność bardzo dobra. Pierwsza droga, tzw. gościniec, przebiegała od ukraińskiej wsi Postójno w kierunku wschodnim do najbliższego lasu zwanego Pożarkami. Mieszkały tam tylko trzy polskie rodziny – dwie Domeradzkich i jedna Furmanków (wujek mojej matki). Pozostali mieszkańcy byli Ukraińcami. Od Postójnego w kierunku południowym biegła czwarta droga przecinająca pod kątem prostym trzy pozostałe. Mieszkali przy niej: Józef Osowski, Władysław Osowski (miał żonę Ukrainkę, córkę i syna Mieczysława), Siarkowski, dwie rodziny Oleszków, dwie Konecznych, Skiba, jeden Ukraińiec, który kupił gospodarstwo od Pawła Mazura oraz Chmielnicki (miał trzech synów: Michała, Franciszka, Jana i dwie córki). Starsza córka Chmielnickiego wyszła za mąż za Konecznego. Przy drugiej drodze, prowadzącej do Pożarek, swoje domy mieli: Sałek, Ciosek, Hancki (Ukraińiec), Morka, Stanisław Mosek, Franciszek Mosek, Witoszko (Ukraińiec), Gaweł (mój ojciec), Błaszczuk (Ukraińiec), Jan Kucharczyk, Grech (Ukraińiec), Marszałek (miał żonę Ukrainkę i córkę), Wiaderek, Dębski, Józef Kucharczyk, Szander, Michał Kandyba, Jan Kandyba. Mieszkający naprzeciwko nas Witoszko miał dwóch dorosłych i żonatyh synów: Dymitra i Neczypora. Przy samych Pożarkach mieli swoje gospodarstwa: jedna rodzina Kandybów (seniorzy), Korycki – senior, Stanisław Korycki i Lucjan Korycki. Przy trzeciej drodze, równoległej do gościńca, mieszkał Ukraińiec Sydor, Grabowski i jeszcze jedna polska rodzina, której nazwiska nie pamiętam.

Przyjemnym wspomnieniem z mojego dzieciństwa sprzed wojny były wizyty harcerzy – studentów z Janowej Doliny, którzy przebywali tam na wakacjach. Wieczorami przy ognisku u Oleszka urządzali

nam małe przedstawienia. Dla dzieci i młodzieży były to bardzo ważne i z niepokojem oczekiwane wydarzenia.

W czasie ostatnich wyborów do sejmu przed wojną kandydatem na posła był Ukrainiec. Polski nauczyciel z Postójnego, Kołat, namówił mojego ojca, aby ten rozpoczął agitację wśród Polaków w celu wystawienia naszego kandydata. Później okazało się, że zwyciężył on w wyborach. Prawdopodobnie to było powodem, że na początku wojny Ukraińcy spalili nasze zabudowania. W czasie pożaru była gęsta mgła i ciemna noc. Ja obserwując tę mgłę i dym wydobywający się ciągle z płonących zabudowań, coraz bardziej obawiałem się, że w końcu zabraknie nam powietrza i podusimy się. Sąsiad Witoszko zobaczywszy pożar zaczął biec do nas na pomoc. Gdy był już blisko płonących zabudowań usłyszał trzy strzały oddane prawdopodobnie w jego kierunku. Wówczas upadł i dalej nie podbiegł. Ojciec zauważył pożar o wiele za późno i dlatego mało co udało się uratować. My również widzieliśmy ludzi we mgle, ale myśleliśmy, że to sąsiedzi zdążają do pożaru. Później stwierdziliśmy, że musieli to być podpalacze.

Po wejściu na tamte tereny wojsk radzieckich w 1939 roku rozpoczęła się nagonka na Polaków, w czym bardzo aktywni byli również Żydzi. Niemal wszyscy wyżsi urzędnicy państwowi wraz z rodzinami zostali wywiezieni na Sybir. Wiele bogatszych polskich rodzin zaliczonych do tzw. „kułaków” miało przygotowane suchary na ewentualny wyjazd i z niepokojem kładło się spać. Tego rodzaju wysiedlenia odbywały się nocą. Z rodziny Potockich w Derażnem władza radziecka zastała tylko Potocką z trojgiem dzieci. Specjalna komisja „rozkułaczała” ją do tego stopnia, że zostawiła jej po jednej zapasowej zmianie ubrania, obuwia, bielizny i pościeli. Rodzina ta, będąca w pierwszej kolejności na liście do zsyłki, doczekała się jednak pomocy od Potockiego, który przysłał nocą z Rumunii samolot dwupłatowy i zabrał ich z Derażnego.

W czasie rozbrajania wojsk polskich przez żołnierzy Związku Radzieckiego oficerowie zostali oddzieleni od szeregowych i od razu otoczeni silnym nadzorem. Szeregowi traktowani byli łagodniej i dlatego znaczna ich liczba opuściła obozy, udając się do swoich domów lub krewnych. Wówczas to przyszedł do nas kuzyn Feliks Furmanek z Czekarzewic, który odbywał na Wołyniu służbę czynną. Ze względu na spalenie naszego majątku nie byliśmy w stanie dać mu cywilnego ubrania, chodził więc w mundurze. W kooperatywach materiały odzieżowe sprzedawane były tylko na przydział i to po jednym metrze kwadratowym na rodzinę. Przeważnie jednak był to materiał damski. Nasz żołnierz uszył sobie ubranie z wojskowego koca. Było to dobre na zimę, latem jednak chodził w mundurze i z pasem. Ukraińców raził widok polskiego żołnierza, więc go zadenuncjowali. Zatrzymano go w 1940 roku i wywieziono na Sybir. Ostatnią wiadomość otrzymaliśmy od niego z Archangielska. Od tego czasu ślad po nim zaginął.

Po wkroczeniu Niemców w 1941 roku Ukraina otrzymała prawa autonomiczne. Policja ukraińska rozpoczęła swą działalność od zbierania broni. Wzywała Polaków na posterunki i biciem zmuszała do oddania posiadanego uzbrojenia. Tego rodzaju „lanie” z naszej kolonii dostał między innymi Szander, który będąc w wojsku służył w strzelcach. W ten sposób w znacznym stopniu pozbawiono Polaków możliwości stawiania jakiegokolwiek oporu w późniejszych rzeziach.

Autonomia ukraińska trwała tylko dziewięć dni. Po tym okresie Ukraińcy w Postójnem usypali na skrzyżowaniu dróg wielki kopiec ziemi, gdzie prawdopodobnie zakopali jakieś dokumenty. Mówiło się, że tam pochowali „Samostijnuju Ukrainu”.

Organizowanie się i szkolenie oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii rozpoczęło się już zimą 1941/42 roku. Z Tomaszowa brali w tym udział w Postójnem Wołodika Hancki (lat około 20) i Anton Błaszczuk (lat około 18). Razem z Antonem pasłem krowy i wtedy pokazywał mi rewolwer. Wyjaśnił mi też zasady, jakimi powinien kierować się żołnierz. Między innymi zapytał mnie, czy chciałbym zginąć w zamian za powstanie Polski. Odpowiedziałem, że nie. Wówczas oświadczył, że ja Polski nie zbuduję. A on chciałby zginąć, żeby powstała Ukraina.

Rabunki z bronią w ręku i mordowania pojedynczych rodzin polskich rozpoczęły się późną jesienią 1942 roku. Pojawiły się również w Derażnem jakieś plakaty antyniemieckie. Aby zapobiec tego rodzaju protestom Niemcy przy pomocy policji ukraińskiej wyznaczyli trzech zakładników, oczywiście spośród Polaków. Byli to: ksiądz Michał Dąbrowski z Derażnego, Dyka – były kierownik szkoły podstawowej w Derażnem oraz Dawidowicz z Perłysianki. Zakładnicy ci mieli być odpowiedzialni za wyczyny nacjonalistów ukraińskich. Oczywiście plakaty pojawiły się ponownie. Niemcy zakładników zabrali i stracili.

Trzeciego marca 1943 roku bandyci z UPA wymordowali w Dąbrówce rodzinę Naumowiczów – 9 osób. Następnie w Derażnem zabili rodzinę naczelnika poczty Ditmana – 4 osoby oraz uprowadzili Drohomireckiego, który pracował jako tłumacz u Niemca Kulika, zarządzającego dworem Potockiego i Rusieckich. Drohomirecki w czasie tłumaczenia Kulikowi zażaleń Ukraińców zniekształcał ich treść na niekorzyść skarżących się. Udawało mu się to tylko do pewnego czasu. Ukraińcy podstawili mu swojego tłumacza jako petenta do Kulika. Za ten czyn Drohomirecki zapłacił życiem. Jego żona z dziećmi udała się na Pieńki. Po przeczekaniu w ukryciu napadu band ukraińskich wzięła jakiegoś konia z wozem i pojechała do Huty Stepańskiej, a stamtąd do Równego.

Zabudowania Chmielnickiego znajdowały się całkiem na uboczu, na rogu trzeciej i czwartej drogi. Według relacji Janka Chmielnickiego schodzili się do nich mężczyźni z Tomaszowa i dyskutowali na temat zagrożenia ze strony Ukraińców. Nie uszło to widocznie uwadze sąsiada Ukraińca, gdyż pewnej nocy przyjechali do nich z Postójnego furmankami, otoczyli zabudowania i weszli do mieszkania. Okazało się, że mieli ze sobą jeszcze dwoje Ukraińców, którzy byli zwolennikami komunizmu i dwóch niewolników radzieckich. W mieszkaniu wszystkich powiązali i pokładli na podłogę za wyjątkiem Janka Chmielnickiego, na którego zabrakło sznurka. On położył się niezwiązany. W czasie oddania pierwszego strzału do leżących lampa naftowa zgasła. Janek wykorzystał to i wczołgał się pod łóżko. Po zapaleniu światła oprawcy rozstrzelali pozostałych. Dokonawszy tej zbrodni podpalili zabudowania. Gdy płomień ogarnęły dach Janek wybiegł na podwórze. Tam jednak była jeszcze obstawa. Jeden z nich zaczął go gonić. Janek wrócił do mieszkania i schował się za drzwiami. Bandyta wbiegł za nim, nie miał jednak czasu go szukać, bo płomień zaglądały już przez okna. Wybiegł zatem z domu. Wówczas Janek wyskoczył przez okno i zaczął uciekać w pola. Strzelali do niego, a nawet puścili za nim psa. Nie wiadomo czy strach zmusił go do maksymalnego wysiłku w czasie ucieczki czy pies nie był dobrze wyszkolony, w każdym bądź razie udało mu się schronić do szwagra Bolesława Konecznego. Według jego relacji pies nie mógł go dogonić. Okropny był widok Janka całego zbryzganego krwią. Początkowo szwagier nie poznał go i nie chciał wpuścić.

Na widok ognia u Chmielnickich niektórzy sąsiedzi zaczęli biec z pomocą. Od Sałka poszedł Stefan Sałek (lat 22) i jego siostra Krystyna (lat 16). Szli krótszą drogą przez pola. W tym czasie bandyci wracali do Postójnego. Na tle ognia zauważyli dzieci Sałka i po pościgu złapali je. Decyzja była krótka – rozstrzelać. Odprowadzono ich trochę na bok od furmanek. Stefan powiedział wówczas do Krystyny – „Uciekajmy!”. Sam zaczął biec w przeciwnym do ognia kierunku i krzyczeć. Strzelali za nim. Po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów upadł, przestał krzyczeć i dalej uciekał na czworakach. Było ciemno i to ich zmyliło. Zaczęli go szukać, ale bezskutecznie. Krystyna natomiast zaczęła uciekać w kierunku ognia. Była widoczna. Trafili ją w głowę. Pocisk wyszedł jej przez oko. Widziałem ją. Okropny był to widok.

Następnego dnia poszliśmy oglądać tragedię Chmielnickich. Ciała były już powyciągane z ognia. Były popalone od połowy w górę lub w dół, zaś pozostała połowa była nietknięta przez płomień. Trudno było je zidentyfikować, bo wszyscy byli bez ubrań. Opłakiwali Polacy swoich krewnych, a Ukraińcy swoich.

Po tym wydarzeniu część mieszkańców Tomaszowa wyjechała do Janowej Doliny, gdzie stacjonowało około 150 żołnierzy niemieckich. Większość jednak pozostała na miejscu. W Janowej Dolinie nie było co jeść, więc ludzie wracali do Tomaszowa po żywność. Potwierdzało to opinię moich rodziców, że poza domem poumieramy z głodu. Ludzie starsi wiekiem w ogóle nie opuszczali swoich gospodarstw.

Tego rodzaju morderstwa stały się tak częste, że już nikt nie był pewny swego bezpieczeństwa. W domu niewiele się mówiło, a wszyscy myśleli tylko o jednym i tym samym – jaka będzie następna noc. Czy przeżyjemy? To straszne przez tak długi czas ciągle się bać.

Pewnej nocy zapukali i do naszych drzwi. Mieszkanie nie mogło służyć za warownię. Po pożarze wszystkich zabudowań postawiliśmy naprędce dom z materiałów przeznaczonych na magazyn zboża. Było to jedno pomieszczenie o wymiarach 5 na 6 metrów, w którym było jedno małe okno, kuchnia i piec. Do tego dobudowaliśmy oborę z desek, na zimę ocieplaną warstwą dębowych liści. Dach kryty słomą. Wystarczyłaby mała iskra, żeby wszystko spłonęło. Rodzina nasza składała się z rodziców, dwóch sióstr – Marii (lat 18) i Emilii (lat 16), mnie – Mieczysława (lat 14), Tadeusza (lat 12), Juliana (lat 9) i Zdzisława (lat 5). Gdy usłyszeliśmy pukanie ojciec otworzył drzwi. Weszło ich chyba siedmiu. Byli poubierani w płaszcze wojskowe – zielone polskie i szare radzieckie, a niektórzy byli po cywilnemu. Broń też mieli różną. Jeden z nich miał siekiere. Już wyobrażałem sobie, jak to będzie bolało, gdy nas będzie rąbał. Oni natomiast zaczęli dopominać się o czoboty, sapahi i batinki. Są to ukraińskie i rosyjskie nazwy obuwia. W końcu zabrali teczkę skórzaną, szalik i poszli sobie. Jednym słowem udawali partyzantów radzieckich. Okazało się, że w ten sposób obeszlą oni wszystkich mieszkańców Tomaszowa i u każdego coś zabrali. Oczywiście później wykorzystali to jako pretekst do mordowania Polaków, którzy rzekomo pomagali radzieckim partyzantom. W rzeczywistości było to również rozpoznanie. Sprawdzali gdzie przechowywana jest broń i czy Polacy będą się mieli czym bronić.

Pamiętnego dnia 25 marca 1943 roku było święto kościelne. Była dość ładna, wiosenna pogoda. Dużo ludzi z Janowej Doliny wróciło do swoich domów po żywność.

Moja siostra Maria dwa tygodnie wcześniej poszła na Radomiankę do ciotki Snopkowej. Mąż ciotki, Jan Snopek, po kampanii wrześniowej powrócił do domu. W czasie okupacji radzieckiej kupił w Równem kilka par pończoch i sprzedawał je w Derażnem na rynku. Na tej to „zbrodni” został złapany, skazany na półtora roku więzienia za nielegalny handel i wywieziony w głąb Związku Radzieckiego. On jeden z całej Radomianki miał karabin schowany w stodole, ale ci, którzy o tym wiedzieli nie mogli broni znaleźć.

Druga moja siostra, Emilia z Otylią Furmanek poszła do Janowej Doliny. Ojciec udał się do Stanisława Kandyby, a matka do Skiby. Dwaj najmłodszy bracia bawili się ze swoimi rówieśnikami u Ukrainca Dymitra Witoszki. W domu byłem tylko ja i mój brat Tadeusz. Żona Neczypora Witoszki wracając od swoich rodziców z drogi nr 1 powiedziała nam, że Domeradzcy zostali zamordowani. Tadeusz poszedł to zobaczyć. Stało się to już po prostu zwyczajem. Ja pobiegłem po matkę. Gdy wróciliśmy matka posłała mnie po ojca. W międzyczasie wrócili Julek i Zdzisiek z żoną Dymitra, Sańką. Ta zaproponowała, że zabierze ich z powrotem do siebie. Mama zgodziła się na to.

Z późniejszych relacji Furmanka dowiedziałem się, że po wymordowaniu Domeradzkich, z których uratowało się dwoje dzieci, bandyci zabrali ze sobą Antoniego Domeradzkiego. Zabili go później razem z rodziną Józefa Osowskiego. Od tego miejsca zabudowania były już przeważnie polskie, więc szli po kolei i mordowali kogo dopadli. Dlaczego więc ominęli Furmanka? Prawdopodobnie nie znali dobrze mieszkańców Tomaszowa. Antoni Domeradzki posłużył im jako przewodnik. Nie zdradził, że Furmanek jest Polakiem. Był to bohaterski czyn w ramach jego możliwości. Zabudowania Józefa Osowskiego były trochę na uboczu i rozpoczynały ciąg polskich gospodarstw. Strzały zaalarmowały pozostałych mieszkańców Tomaszowa. Usłyszała je również przebywająca u Oleszka Siarkowska, która zostawiła w domu śpiącego męża. Pobiegła natychmiast w kierunku Osowskiego, obudziła męża. Uciekając zostawiła go próbującego obuć ciasne buty z cholewami. Gdy wracałem od Kandyby mama stała na podwórzu i wołała nadbiegającą Siarkowską. We troje zaczęliśmy się zagrzebywać w słomę. W tym czasie usłyszeliśmy strzały od strony zabudowań Siarkowskiego. Zauważyliśmy, że ucieka on ścieżką pomiędzy drogą nr 1 a środkową, czyli naszą, w kierunku Pożarek. Był na wysokości końca naszego pola. Miał już połowę drogi za sobą. Nie miałby jednak żadnych szans, nawet gdyby uciekł do Pożarek. Sańka Witoszko powiedziała mi, że stacjonował tam cały oddział ukraiński. Następnie zobaczyliśmy, że jeden z bandytów dosiadł Oleszkowego konia i doganiał Siarkowskiego. Było to w odległości około 500 metrów od nas. W tym czasie Tadeusz wracał od Furmanka do domu i znajdował się w pobliżu przebiegającego Siarkowskiego. Schował się więc za kupą obornika, bo nie miał szans ucieczki i obserwował to wydarzenie z bliska. Siarkowski był już ranny w rękę. Gdy bandyta go dogonił, ten posłusznie położył się na ziemi. Ukraińiec zsiadł z konia, przytknął mu karabin do głowy, strzelił, a następnie zdjął ofierze buty. Dlaczego Siarkowski się nie bronił – nie wiem. Był bardzo zmęczony ucieczką, a może ciężko ranny. A miał szansę. Bandyta siedział na płochliwym koniu i miał karabin z oberżniętą lufą, który z pewnością nie strzelał celnie. Z późniejszych opowiadań dowiedziałem się, że ten sam bandyta zaatakował ukraińską kobietę, która przypadkowo znalazła się na terenie Tomaszowa. Na jego wezwanie, aby się położyła, zaczęła go wyzywać wymachując rękami. Koń się płoszył. Bandyta oddał do niej strzał, lecz nie trafił. Spłoszony koń ponióśł go. Gdy wrócił w to samo miejsce, kobieta miała grudy ziemi w rękach i zaczęła obrzucać nimi konia. Zwierzę znów się płoszyło. Po oddaniu jeszcze dwóch niecelnych strzałów bandyta zawrócił konia i odjechał.

Po zabiciu Siarkowskiego Ukraińiec wsiadł na konia i rozglądał się za następną ofiarą. My w tym czasie byliśmy do połowy zakopani w słomie i obserwowaliśmy jego zbrodniczy wyczyn. Gdy zwrócił się w naszą stronę, zauważył nas, bo matka miała na głowie białą chustkę. Przez pewien czas błagała Matkę Boską o pomoc. Gdy jednak bandyta ruszył w naszą stronę powiedziała tylko: „Ona już nas nie słyszy...” Zanim przyjechał do nas, zdążyliśmy jednak pochować się w słomie na dobre. Czulem końskie kopyta przy samej mojej głowie. Nie ruszałem się, aby nas nie zdradzić. Bandyta nie czuł się widocznie pewnie, bo nie zszedł z chrapiącego konia i szybko odjechał.

Przed wizytą bandyty wrócił ojciec. Na wezwanie matki, aby się chował, machnął tylko ręką i poszedł do mieszkania. Hołdował zasadzie, że lepiej zginąć sytym niż w mieście umierać z głodu.

W chwilach względnego spokoju wychylaliśmy głowy ze słomy i obserwowaliśmy okolicę. Jak już wspomniałem, teren był równy, więc i widoczność dobra. Widziałem bandytów przebiegających od zabudowań Oleszka do Konecznego. Było ich sześciu, a ten na koniu siódmy. Należy przypuszczać, że ich celem było wygnanie nas, a nie wymordowanie, gdyż zaczęli to robić z jednego końca kolonii i tylko w siedmiu. A przecież w Pożarkach mieli duży swój odwód. Następnie widziałem ich koło zabudowań Hanckiego, kiedy strzelali do wracającego do domu Morki, który na starość miał słaby wzrok i widział za ledwie na odległość kilkunastu metrów. Nie mógł zobaczyć kto do niego strzela. Przystanął tylko na chwilę i dalszej szedł w ich kierunku. Po którymś z kolei strzale upadł. Bandyci dalej zbliżali się do zabudowań Moska, który kilka tygodni temu wyjechał z całą rodziną do swoich teściów za Łuck do Sosnowca. Kolejnym ich celem byliśmy my. Zastali ojca na podwórku. Zaczęli go wypytывать, gdzie ma rodzinę (po ukraińsku oczywiście), lecz on powiedział, że wszyscy puciekali. Wówczas rozpoczęli przeszukiwanie gospodarstwa. Matka była na samym brzegu słomy rozrzuconej od stogiem. Kopnięciem nogi bandyta odsłonił ją i kazał wstawać. Matka wstając odkryła Siarkowską, bo były razem schowane. Ja byłem ukryty oddzielnie i trochę dalej. W pewnym momencie usłyszałem szcęk zamka karabinowego wprowadzającego nabój do lufy. Siarkowska zaczęła wstawać, ale matka, widząc że bandyta zajęty jest karabinem, popchnęła ją i przykryła słomą. Sama poszła na śmierć. Kazali im się położyć i oddali do nich siedem strzałów.

Wkrótce po ich odejściu pojawili się ukraińscy sąsiedzi od Witoszków z kuzynami Ihnatiukami z drogi nr 1, którzy zaczęli grabić nasze mienie. Usłyszałem jak syn Ihnatiuka (w moim wieku) mówił do Neczypora, że Miła, Otola i Tadeusz ukryli się w Postójnem u znajomych Ukraińców. Podał przy tym ich nazwisko. Byłem mu wdzięczny za tę informację, bo wiedziałem gdzie ich szukać.

Jak wspominałem była to wczesna i dosyć chłodna wiosna, a ja byłem tylko w jednym drelichowym ubranku i pod cienką warstwą słomy. Zauważyłem, że cały trzęsę się z zimna. Później stwierdziłem, że nie z zimna a ze strachu, bo dostawałem drgawek tylko wtedy, gdy ktoś chodził po podwórzu. Widocznie kobiety nie zbliżały się do moich zabitych rodziców, bo żona Dymitra, Sańka zapytała Neczypora, jak oni wyglądają. Neczypor odpowiedział: „czerepy heti porozlitalyś” (czyli że czaszki całkiem się porozlatywały). Widocznie strzelali do nich z rozrywających się pocisków.

Gdy zapadł zmierzch przeszedłem z mojej kryjówki do Siarkowskiej, która oddała mi ciepłą, dużą, wełnianą chustę w rodzaju pledu, pozostawioną przez moją matkę. Jak się rozgrzałem to usnąłem. Obudziłem się, kiedy było już ciemno. Chciałem wyjrzeć na zewnątrz, lecz Siarkowska jednym ruchem ręki przyduśiła mnie z powrotem do ziemi. Nie chciała się również zgodzić na ucieczkę w nocy. Po pewnym czasie szybko wysunąłem głowę ze słomy i zauważyłem, że Klin i Polanówka płoną. Pali się również zabudowanie Furmanka. Tam rozegrała się następująca scena. W domu był Furmanek z żoną i córką Heleną. Kobiety spały, a on czuwał. W krytycznym momencie zdrzemnął się. Gdy się ocknął, bandyci byli już pod oknem. Nie było czasu – jego zdaniem – na budzenie kobiet. Powstałby szum i ucieczka została by zauważona. Uciekł więc sam na strych. Drzwi nie były zamknięte. Helena obudziła się, gdy bandyci wchodzili do mieszkania. Zdążyła tylko naciągnąć pierzynę na głowę. Jeden z nich podszedł do jej łóżka, usiadł na nim i położył karabin na jej nogach. Pozostali przyczepili się do jej głuchej matki. Nie mogli się z nią dogadać, więc ją zastrzelili. Poznawali pozabijanych Domeradzkich, których mieszkania nie mogli podpalić w obawie, że spłoną sąsiednie zabudowania Ukraińca. Tu ich złożyli i podpalili. Gdy płomienie objęły dom, Furmanek zeskoczył ze strychu i w kłębach dymu uciekł, a Helena wyszła na zewnątrz przez wybite okno po odejściu obstawy.

Pożar u Furmanka nie przekonał Siarkowskiej, że bandyci spalą wszystkie polskie zabudowania. Nie chciała uciekać i mnie też nie pozwalała. Mówiła, że oni tu gdzieś siedzą i jak tylko wyjdziemy to zaraz nas zabiją. Gdy następnym razem się obudziłem, paliły się już z jednej strony zabudowania Moska, a z drugiej Kucharzyka. Wskoczyłem ze słomy, chwyciłem w ręce drewniaki z nóg i zacząłem uciekać. Po kilkunastu metrach obejrzałem się. Zobaczyłem, że za stogiem stoi kawaleria około sześciu koni, a do stogu już się zbliża dwóch pieszych bandytów. Ucieczka nie miała sensu. Szybko wróciłem do Siarkowskiej, która szukała w słomie kalosza. Zdążyliśmy się tylko schować, gdy ci dwaj przeszli koło nas i weszli do mieszkania. Nie zważałem teraz na protesty Siarkowskiej. Posypałem głowę lekko słomą i obserwowałem ich. Obeszli zabudowania, wypuścili z chlewa krowę, która była chora i nikt z sąsiadów jej nie wziął, wciągnęli rodziców do mieszkania i podpalili. Postali chwilę z bronią gotową do strzału, dopóki płomienie nie ogarnęły całego budynku, po czym odeszli. Pożar groził zapaleniem się i naszego stogu, więc zapytałem Siarkowską czy i wtedy nie będziemy uciekać. Odpowiedziała, że nie.

W ten sposób dotrwaliśmy do rana. Wtedy przyszły Emilia i Helena Furmanek, zabrały niektóre ubrania schowane poza domem i odeszły.

Rozmyślając o swoim dalszym losie pragnąłem za wszelką cenę spotkać się z Emilią i Tadeuszem. W tym szoku zapomniałem zupełnie o najmłodszych braciach – Julianie i Zdzisławie oraz o Mariannie na Radomiance. Około godziny 10-tej zerwał się silny wiatr i groziło nam zawalenie się stogu na nas. Wykorzystałem to i tym argumentem przekonałem Siarkowską, że musimy uciekać. Ona poszła do Janowej Doliny, a ja do Postójnego. Gdy wyszedłem na pole zobaczyła mnie Sańka. Ta, która zabrała moich najmłodszych braci. Zawołała mnie, ale ja pamiętałem jak między innymi i ona rabowała nasze mienie, więc się jej bałem. Zacząłem uciekać. W Postójnem dowiedziałem się, że moje rodzeństwo, tj. Emilia i Tadeusz oraz Furmanek, Helena i Otylia poszli do Derażnego i chwilowo zatrzymają się w tym a tym mieszkaniu. Gdy wyszedłem na gościniec prowadzący do Derażnego widziałem ich, idących przede mną. Byli bardzo daleko i w dodatku wiatr wiał z ich strony, więc nie słyszeli mojego wołania i gwizdania. Dogonić też ich nie mogłem.

Gdy dochodziłem do Derażnego z lasu Potockiego padł strzał. Byłem zmęczony, a w drewniakach niełatwo było uciekać, więc pomału szedłem dalej. Chyba to ich zmyliło, bo nikt z lasu do mnie nie wyszedł.

W Derażnem spotkałem wszystkich we wskazanym mi domu, na ganku, za wyjątkiem wujka, który poszedł zobaczyć, czy most na rzece Horyń nie jest pilnowany. Do mieszkania ich nie wpuszczono. Dzieci ukraińskie przechodząc mówiły: „Patrzcie no gdzie Polacy się pochowali”. Gdy Emilia zapytała mnie o najmłodszych braci, wtedy dopiero przypomniałem sobie o nich. Wracać się po nich było już niebezpiecznie. Zostali sami, nawet nie wiedząc, gdzie mogliby uciec...

Rano bandyci dużymi siłami uderzyli na Pieńki i Pendency, gdzie Polacy mieli kilka ręcznych karabinów. Wokół tych wiosek wykonali okopy i dla zmylenia przeciwnika porobili stanowiska dla ciężkich karabinów maszynowych. To chyba było powodem zaangażowania tak dużych sił UPA.

Z Derażnego udaliśmy się na Radomiankę. Tam czekał na nas tylko wujek. Pozostali mieszkańcy wyjechali do Równego i do Klewania-Posiołka. Tak nazywano stację kolejową Klewań, odległą o 3 kilometry od miasta. Tam z kolei spotkaliśmy ciotkę Snopkową z dziećmi – Lonią i Kazią oraz moją najstarszą siostrę Marię. Mieszkały w jednorodzinym domku, który odstąpił im czasowo zupełnie obcy, samotny człowiek. Sam przeprowadził się do sąsiadki.

Po kilku dniach, w takim samym składzie jak przybyliśmy, wyjechaliśmy pociągiem, na platformie, do Łucka. Emilia, ja i Tadzik zostaliśmy w Łucku, a wujek Furmanek z córkami – Heleną i Otylią poszli za miasto do rodziny Moska, do Sosnowca. Tam rozegrała się kolejna tragedia.

Obóz uchodźców w Łucku mieścił się w katedrze, w pobliżu więzienia. Był to duży, trzyskrzydłowy gmach, wypełniony ludźmi z różnych stron Wołynia. Opiekę nad tym obozem sprawował Komitet Katolicki, który organizował dostawy żywności w postaci dobrowolnych datków z okolicznych, polskich wiosek oraz od mieszkańców Łucka.

Zaraz następnego dnia po przenocowaniu w katedrze zostaliśmy wygonieni przez Niemców na zbiórkę na placu, po czym wraz z innymi kobietami i dziećmi poprowadzono nas pod eskortą za miasto do przebierania ziemniaków. Byliśmy bez ciepłego odzienia, ale nikt się tym nie przejmował, że się przeziębimy. Taki tryb życia prowadziliśmy przez kilka tygodni. Stąd Niemcy niemal masowo wywozili ludzi do Rzeszy na roboty. Niektórzy zgłaszali się na wyjazd dobrowolnie, nie mając żadnych widoków na poprawę swego losu.

Po kilku tygodniach Tadeusz zachorował. Odprowadziliśmy go do izby chorych, skąd po wyzdrowieniu zabrano go do sierocińca. Dyrektor obozu Jan Klimko wziął Emilię jako pomoc domową. Mną z kolei zaopiekował się Aleksander Mierzejewski, który pracował w arteli (zrzeszenie różnych zawodów). Zapisał tam i mnie jako ucznia szewskiego. Odtąd zamieszkałem u niego w domu. Po pewnym czasie przyjechała do Łucka również druga moja siostra, Maria, która początkowo zatrudniała się u różnych ludzi jako pomoc domowa. Później przystąpiła do pracy w arteli i zamieszkała razem ze mną u państwa Mierzejewskich.

Aleksander Mierzejewski miał około 27 lat. Mieszkał wraz z rodzicami i siostrą Heleną z synem w domku jednorodzinny na przedmieściu Łucka. Znał dosyć dobrze język niemiecki. W arteli pracował jako zaopatrzyciel żywnościowy. Miał tam szerokie znajomości, bo pomimo nadzoru niemieckiego zaopatrywał w obuwie siostry zakonne. Po pracy wieczorami zabierał mnie ze sobą do znajomych. Jedną z tych osób prowadziła małą szkółkę z kilkorgiem dzieci. Mierzejewski chciał mnie tam ulokować. Jednak pani ta nie chciała mnie przyjąć i starała się wmówić mi, że nie mam ochoty na naukę. Początkowo myślałem, że Mierzejewski chce się mną pochwalić. Później jednak, gdy poznałem miasto i adresy znajomych okazało się, że musiałem chodzić do niektórych z nich i przekazywać lub odbierać pewne informacje. Po kilku miesiącach pobytu dowiedziałem się od niego, jakie spełniam zadanie i jak mam się tłumaczyć, gdyby mnie zatrzymała policja ukraińska lub Niemcy. Pod koniec lata jego wymagania wobec mnie zaczęły się zwiększać. Powiedział mi wówczas, że jest dowódcą II batalionu i odebrał ode mnie przysięgę. Przyjąłem pseudonim „Poleszuk”. Po paru dniach przyszło dwóch panów, od których Mierzejewski odebrał krótką broń. Wsadził mi ją za pazuchę po obu stronach i kazał mi ich zaprowadzić za rzekę Styr, na Krasne na nocleg. Ja szedłem pierwszy, a oni kilkanaście metrów za mną. Dotarłem do miejsca przeznaczenia, upewniłem się, że wszystko w porządku, oddałem broń i wracając obok tych panów powiedziałem „droga wolna”. Później zaopiekował się nimi ktoś inny. Tego rodzaju nieznajomych odprowadzałem dużo więcej, ale rzadko którzy przychodzili z bronią. Oczywiście przenosiłem i samą broń, ale wtedy Mierzejewski mnie ubezpieczał. W takich akcjach chętnie brałem udział, bo nie zdawałem sobie sprawy, czym może się to skończyć. Myślałem sobie, że skoro poprzednio się udało, to musi się udać i teraz.

W listopadzie 1943 roku Mierzejewski przekazał mnie innemu dowódcy – Wincentemu Romanowskiemu ps. „Wrzos”, od którego otrzymałem dodatkowe przeszkolenie i powtórzyłem przysięgę. Okazało się, że przy tej samej ulicy Krakowskiej, gdzie mieszkał Mierzejewski, w domu państwa Baczyńskich znajdował się pręźnie działający punkt kontaktowy Armii Krajowej. Stamtąd również otrzymywałem różne zlecenia jako łącznik.

Świadomość istnienia polskiej organizacji zbrojnej oraz posiadanie przez Mierzejewskich paru sztuk broni krótkiej i jednego karabinu typu „Mauzer”, dawały poczucie względnego bezpieczeństwa. Nadchodzące noce już nie były takie straszne jak w Tomaszowie.

Pod koniec okupacji niemieckiej w 1944 roku Mierzejewski wspólnie z magazynierem z arteli wpuszczali mnie do magazynu materiałów szewskich. Ładowałem rzeczy do teczek, a oni odbierali je ode mnie i wieczorami wynosili na zewnątrz. Później dowiedziałem się, że było to przeznaczone dla żołnierzy AK w Przebrażu.

Po wkroczeniu do Łucka wojsk Związku Radzieckiego, w marcu 1944 roku, po raz ostatni jako łącznik AK doprowadziłem „Wrzosa” na odprawę w domu Baczyńskich. Tam działalność AK obwodu Łuck została zawieszona.

Mosek razem z rodziną po raz kolejny uratował się przed rzezią, wyjeżdżając na czas do Łucka od swoich teściów Kijowskich. Furmanek z córkami jeszcze jednak pozostał na miejscu. Dopiero pod koniec czerwca dowiedzieliśmy się, że jego córka Otylia leży w szpitalu w Łucku. Według jej opowiadań do kolejnej rzezi Polaków doszło w następujący sposób. Gdy Ukraińcy napadli na wioskę Sosnowiec, ludność uciekła w dojrzewające zboże. Bandyty powypędzali z gospodarstw inwentarz żywy, a zabudowania spalili. Polacy wrócili nocą, zabrali co jeszcze pozostało i rano wyruszyli w kierunku Łucka. Nie ujechali daleko. Tym razem bandyci ukraińscy wykorzystali dojrzewające zboże i urządzili zasadzkę. Polacy okrążeni ze wszystkich stron nie mieli żadnych szans ucieczki. Dopiero gdy oprawcy powychodzili z żyta i zbliżyli się z bronią gotową do strzału, niektórzy młodszy i zręczniejsi zaryzykowali ucieczkę. Niewielu było szczęśliwców. Otolą Furmanek, korzystając z nieuwagi pilnującego ich bandyty, zaczęła pomалу się oddalać. Gdy była już w odległości około trzydziestu metrów, pobięła w kierunku żyta. Wówczas bandyta zauważył ją i oddał strzał. Trafił ją w udo pociskiem rozpryskowym. Rana nie była głęboka, ale odłamki pokaleczyły jej oba uda i pośladki. Jedna noga stała się całkowicie bezwładna. Bandyta podbiegł do niej w wiadomym celu. Ona widząc beznadziejność sytuacji zaczęła płakać i lamentować w języku ukraińskim, wzywając Boga na pomoc. Wtedy bandytę widocznie ruszyło sumienie i powiedział: „Jak ty jesteś Polką, to dlaczego modlisz się po ukraińsku?”. Nie otrzymując żadnej odpowiedzi odszedł od niej. Działo się to w pobliżu mieszkania rodziny ukraińskiej. Gdy bandyta oddalił się, z domu wyszła jakaś Ukrainka i powiedziała do Otoli: „Uciekaj, bo on się wróci i zabije cię”. Zaczęła się więc czołgać na rękach i jednej nodze jak najdalej w żyto. Tymczasem bandyci zawrócili złapanych Polaków w kierunku wioski, między innymi jej ojca Filipa Furmanka i siostrę Helenę, skąd już nikt nie wrócił. Otolą zaś pomалу czołgała się w kierunku Łucka. Jak na jej ówczesne możliwości było to jednak zbyt daleko (około 30 kilometrów). Po drodze natrafiła na jakiś strumyk, napiła się wody i to ją trochę wzmocniło. Dopiero na drugi dzień doczołgała się do głównej drogi, prowadzącej do Łucka. Tam zabrał ją na furmankę jakiś Ukrainiec i zawiózł do szpitala.

W Łucku na przedmieściach również zdarzały się częste przypadki mordowania Polaków. Trzeba było organizować samoobronę. Gdy zagrożone było przedmieście Krasne, zaniósłem tam karabin w worku z sianem od Mierzejewskiego. Szedłem przez most nad Styrem, pilnowany przez dwóch wartowników. Mierzejewski siedł wówczas za mną w bliskiej odległości, z woreczkiem naboju w ręce i rewolwerem w kieszeni.

Powróć jeszcze do tragicznych wydarzeń, jakie rozegrały się w Tomaszowie w marcu 1943 roku. W czasie palenia zabudowań tomaszowskich dorośli synowie Konecznego – Bolesław, Jan i Józef – byli akurat w domu. Gdy zobaczyli bandytów, zaczęli uciekać. Mimo ciemnej nocy Bolesława trafili w głowę. Rodzina Stanisława Kandyby rozdzieliła się w czasie ucieczki. Rodzice i syn Edward, instynktownie omijając Pożarki, udali się na północ w kierunku Klina. Tam spotkali się z rodziną Lutka Koryckiego i Jadwigą Korycką. Jadwiga Korycka przed opuszczeniem domu i starszych wiekiem rodziców, którzy nie chcieli uciekać, miała dziwną wizytę dwóch byłych kolegów Ukraińców – Szlejuka i Dejnera. Przyszli do niej wraz z kilkoma innymi, młodymi Ukraińcami, aby napić się wody. Później Szlejuk kazał tym nieznanym wrócić do lasu. Sam z Dejnerem jeszcze na chwilę został, po czym również odszedł. Wątpię, że chodziło im właśnie o napicie się wody. Dzień był dosyć chłodny, temperatura ujemna. Dom Jadwigi Koryckiej znajdował się przy samym lesie i z pewnością był przez nich obserwowany. Zadziałały tu chyba uczucia dawnego koleżeństwa i chęć ostrzeżenia jej przed niebezpieczeństwem. Podporządkowując się jakiejś tam dyscyplinie wojskowej i obawiając jeden drugiego, nie mieli odwagi wprost powiedzieć jej, żeby uciekała. Uznali, że ich wizyta pozwoli jej się domyślić o co chodzi. I rzeczywiście poskutkowało. Żona i córka Stanisława Koryckiego opuściły już wcześniej Tomaszów. On sam pozostał do ostatniej chwili. W czasie ataku zdołał uciec tylko do sąsiada Ukraińca, który ukrył go w chlewie. Gdy jednak bandyci całą rodzinę tego Ukraińca postawili pod płotem do rozstrzelania, ten wydał Koryckiego. Bandyty znaleźli go, związali mu ręce drutem kolczastym i zastrzelili.

Rodziny Koryckich udały się z Klina w kierunku Polanówki, skąd bliżej było do Janowej Doliny. Po drodze natknęli się na patrol konny dwóch bandytów z bronią, którzy zapytali skąd idą. Ponieważ Klin nie był jeszcze zaatakowany, Koryccy odpowiedzieli, że idą właśnie stamtąd. Tamci zażądali wówczas dowodów osobistych. Jadwiga podała im swój dokument tożsamości. Byli pijani i chyba dobrze nie umieli czytać po polsku, bo kazali wszystkim wracać na Klin. Tam tymczasem zebrała się już większa grupa Polaków. Mieli kilka karabinów i dubeltówek. Postanowili opuścić Klin i ukryć się w pobliskim lesie. Tu również zostali odkryci przez patrol konny, ale do walki nie doszło. Zmienili więc swoje miejsce postoju. Na drugi dzień Koryccy opuścili ten obóz i już bez przeszkód dotarli do Janowej Doliny.

Okazało się, że poprzedniego dnia mieszkańcy Polanówki gromadnie udali się do Janowej Doliny, lecz na moście przez Horyń zatrzymali ich dwaj ukraińscy wartownicy z bronią i kazali im wracać skąd przyszli. Po dłuższych pertraktacjach Polacy zaproponowali im okup. To wprowadziło wartowników w zakłopotanie. Spoglądali jeden na drugiego i nie wiedzieli co odpowiedzieć. Ten moment wyko-

rzystali dwaj Polacy sięgając po portfele. Podeszli blisko, obezwładnili wartowników i zrzucili ich do wody. W ten sposób udało się wszystkim przejść przez most. Później Niemcy często sami tam wychodzili i zabierali Polaków, chcących przedostać się do Janowej Doliny.

Jedna z mieszkanek Klina, Momotka, samotnie uciekała przez ukraińską wioskę Złazne. Tam wpadła w ręce oprawców. Rozebrali ją do naga, zadali kilkadziesiąt ciosów nożem (na szczęście nie głębokich) i wrzucili do dołu za stodołą. Właścicielka stodoły, Ukrainka, wyciągnęła ją stamtąd, okryła swoim płaszczem, przewiozła łódką przez Horyń i kazała iść do Janowej Doliny.

Obóz pod Klinem koczował przez kilka dni w lesie, zaopatrując się w żywność i wodę w nie spalonych zabudowaniach na Klinie. W końcu i oni udali się do Janowej Doliny. Niemcy spalili już most, w obawie przed atakami band UPA. Pozostała tylko kładka dla pieszych, przez którą wszyscy bez przeszkód przeszli.

Anna Kandyba (obecnie Lewandowska) oddzieliła się od rodziców i ze swoją ciotką Stanisławą Korycką oraz rodziną Szandrów udała się na przelaj przez pola do polskich wsi Pieńki i Pendyki. Tam w zabudowaniach i na zewnątrz ludzie porobili sobie schowki w rodzaju bunkrów. Po przybyciu uciekinierów z Tomaszowa mieszkańcy Pieńków przenieśli się do Pendyk, znajdujących się bliżej lasu. Podczas ataku bandytów – o świcie 26 marca 1943 roku – część ludzi pochowała się do swoich schowków, a reszta rzuciła się do ucieczki do lasu. Obrona była zbyt słaba. Bandyci zaczęli więc okrążyć wieś, chcąc odciąć ją od lasu. Przerażliwy huk wystrzałów i gwizd pocisków potęgowały grozę sytuacji. W tym czasie nadleciał niemiecki samolot. Widocznie chcieli ocenić siłę atakujących, którzy wkrótce mogli zagrozić pobliskim miastom, gdzie stacjonowali hitlerowcy. Nie znając niemieckich zamiarów bandyci i uciekinierzy popadali na ziemię. Gdy jednak samolot oddalił się, bestialstwa UPA potoczyły się dalej. Ludzie, którym udało się uciec, dotarli do Klewania-Posiołka. Tam dostali od Niemców broń i na drugi dzień razem z nimi pojechali do Pendyk. Tymczasem wszyscy, którzy przygotowali sobie schowki w zabudowaniach podusili się od dymu z pożaru. Pozostałych, mających schrony na zewnątrz, zabrała odsiecz do Klewania. Były i takie przypadki, że zabudowania nie zostały spalone. Nie chcąc zostawiać ich Ukraińcom członkowie odsieczy, po uprzednim dokładnym sprawdzeniu, podpalali je. W jednym z domów ludzie znajdujący się w schowku z pewnością słyszeli chodzących po mieszkaniu, ale bali się wyjść. Dopiero w czasie pożaru dały się słyszeć jęki, krzyki i kaszel. Na ratunek było już jednak za późno. Po ugaszeniu ognia wydobyto ze środka tylko zwłoki. W następnych budynkach nawoływano już głośno po polsku i w ten sposób znaleziono jeszcze żywych ludzi. Większość z tych uciekinierów wyjechała pociągami towarowymi do Łucka.

W czasie napadu na Tomaszów zginęła również córka Olszewskiego i jego żona Władysława (Ukrainka). Natomiast syn Mieczysław ocalał pod opieką babki (Ukrainki), która przechrzczyła go na wiarę prawosławną. Odbyło się to oczywiście za zgodą ówczesnych władz UPA. Chrzest ten dawał mu względne bezpieczeństwo przebywania w Postójnem. Zdarzył się jednak wypadek, że przyszło do niego na pastwisko dwóch młodych nacjonalistów i chcieli go zabrać od pozostałych kolegów pasących krowy. Zaczął uciekać i krzyczeć, ale napastnicy go nie gonili. Prawdopodobnie później za ten czyn zostali ukarani.

Pewnego razu Mieczysław Osowski widział w Postójnem na ulicy, jak Neczypor Witoszko założył sobie na twarz maskę i z rewolwerem w jednej a nożem w drugiej ręce podszedł do stojącej grupy mężczyzn. Jednego z nich, stojącego tyłem, zastrzelił. Mężczyzna ten był dawniej aktywnym zwolennikiem Związku Radzieckiego.

Władysław Osowski będąc w Łucku wychodził często na targ z nadzieją, że spotka kogoś znajomego z Postójnego i dowie się, czy żyje jego syn Mieczysław. Pewnego razu udało mu się uzyskać pozytywną wiadomość. Pojechał więc do Derażnego. Tam spotkał kogoś ze znajomych z Postójnego i poprosił go, aby powiadomił Mieczysława, że ojciec czeka na niego w Derażnem. Ten zaś powtórzył wszystko Mieczysławowi, który bez namysłu pobiegł do ojca. Nawet się nie pożegnał z babcią. W ten sposób Mieczysław Osowski wyjechał z ojcem do Łucka.

Wkrótce po wkroczeniu wojsk Związku Radzieckiego, w 1944 roku pojechałem z panią Eugenią Marszałek do Klewania, skąd wraz z pięcioma żołnierzami radzieckimi udaliśmy się furmanką do Jamieńca za Derażnem. Marszałkowa odnalazła tam u ukraińskich sąsiadów część swoich rzeczy i krów. Stamtąd do Tomaszowa było tylko około 4 kilometry, ale pora była zbyt późna, aby bezpiecznie tam jechać. Zawróciliśmy więc do Klewania. Przejeżdżając przez Derażne zauważyłem naszą krowę wracającą z pastwiska. Przy pomocy żołnierzy zabrałem ją, lecz oni w ramach rekompensaty za wyjazd z nami wzięli ją później dla siebie.

Derażne było już częściowo odbudowane po pożarze. Naprędce pobudowano małe, drewniane domki kryte słomą. Zostały jeszcze mury spalonego kościoła, cerkwi, szkoły i dworku Potockiego. Pozostałości świątyni przypomniały mi dawne wydarzenia. Kiedy Niemcy stracili księdza Michała Dąbrowskiego jako zakładnika, przyjechał do Derażnego ksiądz Krok z Klewania. Gdy bandyci z UPA zaatakowali go nocą na plebanii, on uciekł przez okno do kościoła i zamknął się od wewnątrz. Drzwi i zamki były solidne, a bandyci nie byli przygotowani na taką okoliczność. Nie mieli ze sobą łomów ani

siekier, więc kościoła nie zdobyli. Następnym razem ksiądz Krok również uciekł im z plebanii do kościoła i schował się do grobowca, w którym zwykle przechowywane było Dzieciątko Jezus, wystawiane na widok publiczny w czasie Bożego Narodzenia. Tym razem bandyci dostali się do wnętrza, przeszukali cały kościół, ale nie znaleźli go. Zabrali organy na wóz konny i jadąc do Postójnego przez całą drogę na nich grali.

Od znajomej Ukrainki z Derażnego dowiedziałem się również o losie jednego polskiego żołnierza, który koniecznie chciał dostać się na Polanówkę. Kiedy transporty wojska polskiego jechały na front, jeden z żołnierzy widocznie uzyskał w Klewaniu przepustkę i chciał odwiedzić rodzinę. W Derażnem pokazano mu drogę, ale nikt mu nie powiedział, że Polanówka już nie istnieje. Udał się więc w kierunku wsi. Uszedł ze dwa kilometry, gdy przed Jamieńcem dogonił go na motocyklu bandyta z Derażnego i zastrzelił.

Na uwagę zasługuje jeszcze jedna polska rodzina, Torzewskich, od dawna zasiedziała w Derażnem. Torzewski był jedynym ślusarzem-mechanikiem w tamtych okolicach i chyba to ich uchroniło przed losem pozostałych rodaków. Pewnej nocy przyjechali i po niego. Związali mu ręce, zasłonili oczy, wsadzili na wóz konny i dla zmylenia jego orientacji jeździli trochę po mieście, a później wyjechali w kierunku Janowej Doliny. Po przebyciu kilku kilometrów skręcili w lewo i zatrzymali się pod lasem, u tamtejszego rolnika. Wprowadzili Torzewskiego do piwnicy, gdzie mieściła się ukraińska drukarnia. Kazali mu ją uruchomić. Dwa tygodnie później znów wywieźli go w stronę Janowej Doliny. Przed wioską Zwiżdżem odsłonili mu oczy i kazali iść do drugiej chaty po lewej stronie. Tam już czekał na niego gospodarz, który zaprzągnął konie, włożył na wóz pół świniaka i powiedział Torzewskiemu, że dali mu to za robotę. Następnie odwiózł go z powrotem do Derażnego.

Z rodziną Torzewskich mieszkał ich kuzyn, po którego wkrótce przyszli ukraińscy bandyci, zabrali go i zamordowali. W zemście za to po powtórny wkroczeniu Rosjan Torzewski poinformował NKWD o istnieniu wspomnianej drukarni. Gospodarstwa już nie było w tym miejscu, tylko czyste, zaorane pole. Stary bywalec tych stron dokładnie jednak orientował się, gdzie to było. Wziął łom, zaczął kopać i znalazł wejście do piwnicy. Drukarnia została zabrana na posterunek.

Rozrachunki między Ukraińcami odbywały się jeszcze 10 lat później, po wojnie, kiedy skazani banderowcy odbyli swoje kary i wracali z więzień. Tym razem to oni padali ofiarami zemsty za swoje dawne zbrodnie na ludności ukraińskiej.

Pewien młody chłopak w czasie jedzenia obiadu dowiedział się, że morderca jego ojca wrócił z więzienia do Derażnego. Przerwał posiłek, wziął nóż i wyszedł. Odnalazł tego banderowca i zabił go tym nożem. Na rozprawie powiedział, że przez tego bandytę nie widział na oczy swojego ojca. Za ten czyn dostał tylko karę w zawieszeniu.

Po przesunięciu się frontu na zachód od Łucka władze Związku Radzieckiego zaczęły wywozić młodych i zdolnych do pracy ludzi na „Donbas” (Donieckie Zagłębie Węglowe). Obie moje siostry i kuzynka Otylia zostały wyznaczone do wyjazdu. Były więc zmuszone do ucieczki do Klewania, gdzie podjęły pracę państwową w lesie. Zapewniało im to chwilową pewność, że nie trafią w głąb Związku Radzieckiego. Wtedy to moja siostra Maria, z tymi samymi co wcześniej żołnierzami radzieckimi pojechała na Tomaszów. Od Witoszków dowiedziała się, że Julek i Zdzisiek rzekomo wyjechali do Niemiec. W pobliżu byłych naszych zabudowań znajdowały się dwie mogiły. Witoszkowie wyjaśnili, że w jednej leżą nasi rodzice, a w drugiej żona Marszałka (Ukrainka) z córką. Maria znalazła u Witoszków trochę naszej pościeli, którą zabrała wracając do Klewania.

O Janowej Dolinie i losie znajdujących się tam wówczas Polaków nie mam dokładniejszych informacji. Ograniczę się więc tylko do relacji pani Jabłońskiej, u której tragicznego dla Tomaszowa dnia przebywała moja siostra Emilia. W Janowej Dolinie stacjonował niemiecki oddział w sile około 150 żołnierzy. Polacy, nie rozumiejąc sytuacji, liczyli właśnie na ich pomoc. Tymczasem stało się niemal odwrotnie. W Wielki Piątek 1943 roku Ukraińcy zjechali furmankami z sąsiednich wiosek i otoczyli tę miejscowość. Gdy przystąpili do ataku i rzezi bezbronnej ludności polskiej, Niemcy zaczęli bronić swoich pozycji strzelając do każdego, kto się do nich zbliżał. Mąż Jabłońskiej zginął w płonącym domu, a ona z kilkuletnią córką Lusią wydostała się na przedmieście. Obie zagrzebały się w śmieciach i tak przeczekały do rana. Niewielu było takich szczęśliwców. Miasto za wyjątkiem koszar zostało spalone doszczętnie.

Przez Klewania przejeżdżały w kierunku frontu transporty Wojska Polskiego. Obsługa dział przeciwlotniczych zatrzymała się tam na dłuższy pobyt w celu ochrony stacji kolejowej. Jednostka ta musiała wielokrotnie nocą odpierać ataki UPA, która po przejściu frontu na nowo wzmagająca swą działalność. Podczas jednego z takich ataków żołnierze użyli przeciwko Ukraińcom tych dział, tzw. „Zenitek”. Rano znaleźli w pobliskim lesie tylko strzępy ubrań i fragmenty ciał ludzkich. Wszyscy ranni zostali jednak zabrani. W tej sytuacji nie było żadnych szans na poprawę bezpieczeństwa. Starsza moja siostra, Maria i kuzynka Otylia wyjechały z transportem wojskowym w okolice Lublina. Podjęły tam pracę na roli. Wkrótce po ich wyjeździe ja i Tadeusz przeprowadziliśmy się do Klewania-Posiołka. Emilia znalazła zatrudnienie w Gromadzkiej Radzie Narodowej i zarabiała 200 rubli miesięcznie. Ja

wykorzystywałem nabyte w arteli umiejętności szewskie i naprawiałem obuwie. Zarobki te wystarczały jednak zaledwie na jedzenie.

Chłopcy od lat czternastu byli wcielani do oddziału „istriebiteli” (odpowiednik naszych junaków) i po krótkim przeszkoleniu w posługiwaniu się bronią ręczną musieli brać udział w akcjach zwalczania UPA. Aktywność tych band ciągle się zwiększała. Jedynym dorosłym człowiekiem wśród tych „istriebiteli” był ich dowódca. Był to wojskowy, który podczas akcji obsługiwał ciężki karabin maszynowy. Ta zabawa dzieci w wojnę trwała do chwili rozpoczęcia masowej repatriacji do Polski w jej nowych, powojennych granicach. W drugiej połowie maja 1945 roku podstawiono wagony dla polskich mieszkańców Klewania. Załadowano nas po 24 osoby do każdego wagonu towarowego, wraz z posiadany mieniem i wywieziono na zachód. Chociaż jechaliśmy w nieznaną, każdy był przeświadczony, że już nic gorszego nas nie spotka niż to, co zostawiliśmy za sobą.

Po nadejściu wojsk radzieckich moje starsze siostry – Maria i Emilia były w Tomaszowie, w miejscu naszej tragedii rodzinnej. Żaden ze znajomych sąsiadów ukraińskich nie chciał podać szczegółów śmierci naszych dwóch najmłodszych braci: Juliana (lat 9) i Zdzisława (lat 5). Zapewniali jedynie, że oni nie żyją. Po wielu latach od znajomej z Derażnego, pani Wujtowiczowej, dowiedziałem się, że kilka dni po rozbiciu Tomaszowa w sąsiedniej ukraińskiej wiosce Postójnem ludność codziennie zbierała się na ulicach w grupki i dyskutowała o bieżących wydarzeniach. Pewnego dnia pojawiło się dwóch bandytów, którzy prowadzili ze sobą małego chłopca uwiązanego za szyję do koromysła (jarzemka do noszenia dwóch wiader wody na ramieniu). Jak podeszli do takiej grupy ludzi, to podnosili to koromysło do góry razem z chłopcem. Najzabawniejsze było dla nich, gdy chłopiec zaczynał się dusić wymachując w powietrzu rękami i nogami. Ludzie nie mogąc na to patrzeć rozbiegali się do domów, a ci oprawcy stawiali swoją ofiarę na ziemi i prowadzili dalej na taki sam pokaz.

Chciałem ustalić, czy tym chłopcem był mój brat Zdzisław. Odszukałem po wojnie miejsce zamieszkania Mieczysława Osowskiego, który w tym czasie przebywał w Postójnem i na pewno coś o tym słyszał. Emilia widziała się z nim w latach sześćdziesiątych, ale chyba przez życzliwość nic jej nie powiedział. Ja z konkretnym pytaniem niestety już się spóźniłem. Mieczysław Osowski już nie żył. Aby wyjaśnić to wydarzenie trzeba by było jechać na Wołyń do Postójnego. Może jeszcze pojadę...